

ALPEJSKIMI DOLINAMI Rodzinnie



sierpień 2018

Niemiecka droga rowerowa

Kiedyś tam byłem, miałem więcej czasu nie mając rodziny. Ale te rejony pociągały i niektóre miejsca chciałem zobaczyć jeszcze raz. Uznałem też, że są one atrakcyjne dla dzieci. Miałem ochotę podzielić się tym co widziałem i opowiedziałem rodzinie, pokazując im to „na żywo”.

Pojechaliśmy zobaczyć dwie duże alpejskie doliny położone w Austrii wzdłuż dwóch rzek: Salzach oraz Inn. Prowadzą tam odpowiednie wydzielone drogi rowerowe pod nazwą: Tauernradweg oraz Innradweg. Spakowaliśmy się i ruszyliśmy.

Dzień 1: Rosenheim – Kufstein - 48 km

Wyprawę zaczęliśmy w Rosenheim, gdzie zostawiliśmy auto bez opłat przy Polskiej Misji Katolickiej. Droga była oznaczona odpowiednimi znakami, ale jakość drogi typowo niemiecka, czyli różna. W przeciwieństwie do Austrii, Niemcy nie robią dróg tylko szerokich i asfaltowych lub czegoś twardego. Więc urozmaicenia nam nie brakowało tego dnia i bardzo fajnie. Tylko część dnia jechaliśmy przez Niemcy aby dotrzeć do pobliskiej Austrii. Ale był to już nasz szlak wzdłuż rzeki Inn. Z Polski przyjechalśmy z nadzieją, że będzie chłodniej. U nas trwały upały w najlepsze. Niestety tego dnia i tu było dość gorąco choć nie tak parno. Skorzystaliśmy z basenu, aby się ochłodzić, a obiad skonsurowaliśmy w Kebabie. Mimo przeciwnego wiatru zrobiliśmy 48 km na rozkręcenie się w pierwszy dzień wyjazdu. Kemping znaleźliśmy w samą

porę, ponieważ wieczorem zaczęło padać.

Dzień 2: Kufstein – Pille - 60 km

Ruszyliśmy dalej w dobrych nastrojach. Ten dzień motywowaliśmy szybkim dotarciem do Muzeum Kryształów Svarowskiego, które mieści się przez Innsbruckiem w miejscowości Wattens. Córka zasuwiała dość szybko i płynnie. Zmiana roweru na 26 cali zaprocentowała zwiększoną szybkością jej jazdy. Patrzyłem na styl jej jazdy i ten rower, to zacząłem zastanawiać się czy nie muszę zwiększyć rozmiarów swoich kół, abym nie jechał też na „dziecinny rowerze”. Ale wszyscy mieliśmy ten sam rozmiar i to było dobre, 26 cali, jedna wspólna dętka. Tego dnia była jednak też gorąco. Niestety. Ale z drugiej strony sprzyjało nam otoczenie. Górskie, zimne rzeki, płynące obok nas. Niejednokrotnie się zatrzymywaliśmy, aby się ochłodzić i popatrzeć na otaczające nas Alpy. Sprawnie i dość wcześnie dotarliśmy do naszego postoju, który przypadkiem wypadł w wiosce Pille, gdzie był zapomniany mały kemping za 15 Euro. Na koniec dnia ponownie przyszedł deszcz, burza. Więc i tym razem nam się udało.

Dzień 3: Pille – Wattens – Pille - 22 km

Ten dzień był poświęcony na Muzeum

Kryształów Svarowskiego w Wattens. Nie było za dużo jazdy raptem ponad 10 km w jedną stronę. Ale takie było założenie, aby tego dnia poświęcić czas czemuś innemu. Muzeum jest dość rozległe, bo składa się na to nie tylko miejsce do zwiedzania, ale także do kupowania, oglądania filmów, a także restauracja, duży plac zabaw i fontanny. Muzeum było jednym z punktów wyjazdu, który również motywował Karolinę do jazdy. Prawie cały dzień tam spędziliśmy. Byliśmy mocno zmęczeni chodzeniem i podziwianiem, że z chęcią trochę posiedzieliśmy podczas gdy dzieci jeszcze szalały. Miałem obawy czy po tylu wrażeniach tego dnia, córka będzie w stanie wrócić rowerem do bazy namiotowej. Po zakupieniu pamiątek z tego jubilerskiego miejsca wróciliśmy do bazy na kolację. Po kolacji jeszcze mieliśmy chęć się przejść po wiosce w której spędziliśmy kolejną noc.


Dzień 4 : Pille – Zell am Ziller - 48 km

Ruszyliśmy sobie z rana w trasę. Cofaliśmy się kawałek trasą wzdłuż rzeki Inn, aby dotrzeć do kolejnej malowniczej doliny. Trasa nie była wymagająca, ale parę górów do pokonania było. Gosia zgłaszała jakieś problemy z rowerem, ale je zignorowałem, gdyż po sprawdzeniu wydawało mi się, że wszystko gra. Przyczyny niepokoju małżonki co do roweru nie znalazłem, co w kolejnej godzinie niestety się zemściło. Pękł jej łańcuch. Po w miarę szybkiej naprawie już nie słyszałem reklamacji dotyczącej działania roweru. Zaopatrzyliśmy się w sklepie w jedzenie i ruszyliśmy w stronę Zell am Ziller, które tego dnia było naszym celem. Dzień minął nie tylko na jeździe rowerem. Sporo czasu spędziliśmy w rzekach. Jedno z zejść do rzeki miało zrobione z dopływu do tej rzeki jakby mały basen. Fajna forma zrobiona z kamieni. Urok tego miejsca był zauważony nie tylko przez nas. Jeszcze parę osób z tego korzystało. Pogoda sprzyjała kąpielom. Temperatura wody oczywiście było typowa dla górskich rzek, czyli bardzo zimna. Czas mijał i nasze ciała zaczęły też domagać się jedze-

nia. Więc w tych pięknych okolicznościach nie zaszkodziło zrobienie obiadu na kuchence. Nic nie zapowiadało, że ten piękny dzień skończy się burzą i deszczem. Jak dotarliśmy do kempingu aby sprawdzić ceny i warunki, to właśnie pogoda spowodowała, że właściwie nie zostało nam nic innego jak się rozbić bo za chwilę możemy zmoknąć. Szkoda, bo mimo że miał basen to się zrobiło za zimno, poza tym był nie wiadomo czemu najdroższym na naszej trasie.

Dzień 5: Zell am Ziller – Krimml - 15 km

Z samego rana rodzina skoczyła do basenu. Tak zaczęliśmy dzień budząc nasze ciała do życia. W międzyczasie po deszczu namiot mógł sobie spokojnie wyschnąć. Ten dzień był bardzo ważny organizacyjnie, bo mieliśmy się dostać na przełęcz Gerlospass 1531 m.n.p.m. Jest to przełęcz, która oddziela dwie ważne alpejskie doliny. My chcieliśmy jechać teraz drugą przy rzece Salzach, ale właśnie pasmo gór je oddziela. Prowadzi tam droga przez przełęcz Gerlospass i Gerlosplatte 1621 m.n.p.m. Podjechaliśmy na dworzec autobusowy, gdzie jeżdżą autobusy także na przełęcz. Zebrało się całkiem sporo osób, więc miałem wątpliwości czy nas kierowca zabierze. Jak wszystko zdjeliśmy z



Z pięknymi widokami dolina...

rowerów trochę rzeczy się uzbierało, wzbudzając przerażenie oczekujących pasażerów. Autokar podjechał, ludzie weszli, a my ostatni czekaliśmy aby przedstawić naszą sytuację kierowcy. Na szczęście kierowca był normalny, autobus miał też spory, posiadał luki bagażowe. Osobiście otworzył wszystkie bagażniki i także osobiście nam pomógł się załadować. Wszystko zajęło nam może 5-6 minut i byliśmy w autobusie. Jest, udało się, cieszyłem się bardzo, że kolejna część planu wyjazdu wypaliła. Na górę było 17 km, autobus jechał ten odcinek całą godzinę. Po drodze część pasażerów wysiadała, a my podziwialiśmy widoki z okien. Nie byłaby to fajna wycieczka na górę z przyczepką na tej drodze bez pobocza z autami. Wysiedliśmy na górze na przełęczy, a autobus pojechał w stronę hotelu i wyciągu narciarskiego które mieści się przy Kognsleiten. A my znaleźliśmy się dokładanie 956 metrów wyżej. (Zell am Ziller 575 m.n.p.m.) Ten dzień w sensie jazdy miał być krótki i był. W planie był zjazd z przełęczy oraz zwiedzanie wodospadów Krimml. Wodospad ten ma 380 m wysokości (od 1470 m n.p.m. do 1090 m n.p.m.), co czyni go jednym z najwyższych w Europie.

Sklada się z 3 progów, z których pierwszy i zarazem najwyższy ma wysokość 140 metrów, dwa kolejne są nieco niższe. Widziałem go już raz, miałem marzenie zobaczyć go jeszcze raz. Okazało się, że czeka nas jeszcze pokonanie różnicy wzniesień 100 metrów w górę, gdzie zjedliśmy sobie spaghetti zrobione na kuchence. Dopiero po krótkim instruktażu dla mojej rodziny jak mają zjeżdżać, zaczęliśmy może krótki, ale ostry i wbrew pozorom niebezpieczny epizod naszej wyprawy. Odcinek tej drogi jest kręty i mocno w dół i do wodospadów droga przewija się jak wąż, oferując po drodze piękne widoki m.in. właśnie na wodospady Krimml, które stąd wyglądają na niewielkie. Hamulce były gorące. Dziewczyny spisały się na medal i zjeżdżały płynnie i bez szaleństw. Ja z przyczepą też się nie wygłupiałem, niewielki mój błąd lub awaria hamulca mogłaby się skończyć tragicznie. Zjechaliśmy. Zostawiliśmy rowery i poszliśmy oglądać wodospady. Krimml z tej perspektywy już nie był taki mały jak u góry z drogi. Potężna ilość wody generuje hałas i taką wodną mgiełką, powodując, że wszystko jest mokre. Poszliśmy na spacer wzdłuż wodospadów. Sporo czasu tam spędziliśmy.

dziiliśmy. Widoki piękne. Spacer był jednak nieco męczący. Miałem wrażenie, że bardziej się rodzice zmęczeni niż dzieci. Zaczęliśmy wracać do rowerów. Niespodziewanie pogoda zaczęła się szybko zmieniać. Zaczęło wiać, następnie kropić. Zarządziłem szybki powrót do rowerów i spróbowanie ucieczki przed burzą, jadąc dalej w dół. Byliśmy dalej na wysokości około kilometra więc zjazdu czekało nas jeszcze sporo. Była już też taka godzina, że powoli trzeba byłoby rozglądać się za noclegiem. Niestety szybka ucieczka była błędną decyzją. Ja będąc już spokojny o dziewczynę, gdyż zjazd był prosty a nie kręty, pociągnąłem do przodu, gdzieś w okolicach 60 km/h. Po jakimś czasie się zatrzymałem, bo straciłem z oczu dziewczynę. Jedno z aut się zatrzymało i byłem w szoku. Wypadek! Powolnym tempem gdyż było mocno pod górę i trochę obciążony dotarłem do dziewczyn. Pzbierałem sprzęt z drogi, małżonka była cała, ale córka leżała. Powoli na drugą stronę gdzie był chodnik przenieśliśmy rzeczy, potem pomogliśmy córce, położyliśmy ją i obejrzeliliśmy. Kierowcy oferowali pomoc, pogotowie itp. ale my stwierdziliśmy, że najpierw zobaczymy czy faktycznie trzeba. Na szczęście mimo, że upadek był przy dużej prędkości, ochronił ją kask. Skończyło się na zadrapaniach w wielu miejscach, więc obklejona w plastrach i kulejąc wstała i poprowadziła nawet swój rower w miejsce gdzie zostaliśmy na spanie. Byłem z niej w tym momencie już dumny, sama szła i prowadziła swój rower. W międzyczasie jak odpoczywała ja pytałem o nocleg. Niestety nikt nie chciał się zgodzić na rozbicie

namiotu. Dopiero gdy Gosia poszła do jednego z najbliższych nam budynków, do którego wrócił gospodarz, mimo, że bardzo nieufnie zgodził się na rozbicie namiotu. Dzięki temu dosłownie kawałek od miejsca wypadku, znalazło się miejsce do wypoczynku i obserwacji córki. Rano miałem podjąć decyzję co dalej. Od żony dopiero dowiedziałem się, że przyczyną wypadku był nagły podmuch bocznego wiatru, który ja nie czułem, bo byłem cięższy i załadowany. Lekkie dziecko z rowerem straciło równowagę, zwłaszcza, że jechała szybko. Noc minęła spokojnie. Z namiotu mieliśmy piękny widok.

Dzień 6: Krimml – Mitterstill - 35 km

Rano jeszcze nie wiedziałem co tego dnia będzie i czy pojedziemy dalej jeśli tak to ile kilometrów albo czy też rowerami. Ale przespana noc i wypoczynek zrobiło swoje. Karolina była obolała, ale już nawet humor miała. Dzień był pochmurny z przelotnymi opadami. Ale widoki z chmurami nisko zawieszonymi wyglądały pięknie. Tempo jazdy spadło, celowo jechaliśmy wolniej i patrzyliśmy jak tam nasza pociecha. Dawała radę nadspodziewanie dobrze. Dzień minął na spokojnej jeździe, wypoczynku, zakupach. Zjazdy stały się wolne, bardzo wolne. Córka dla pewności teraz hamowała na każdym zjeździe. Potrzebowała czasu i ten czas był.

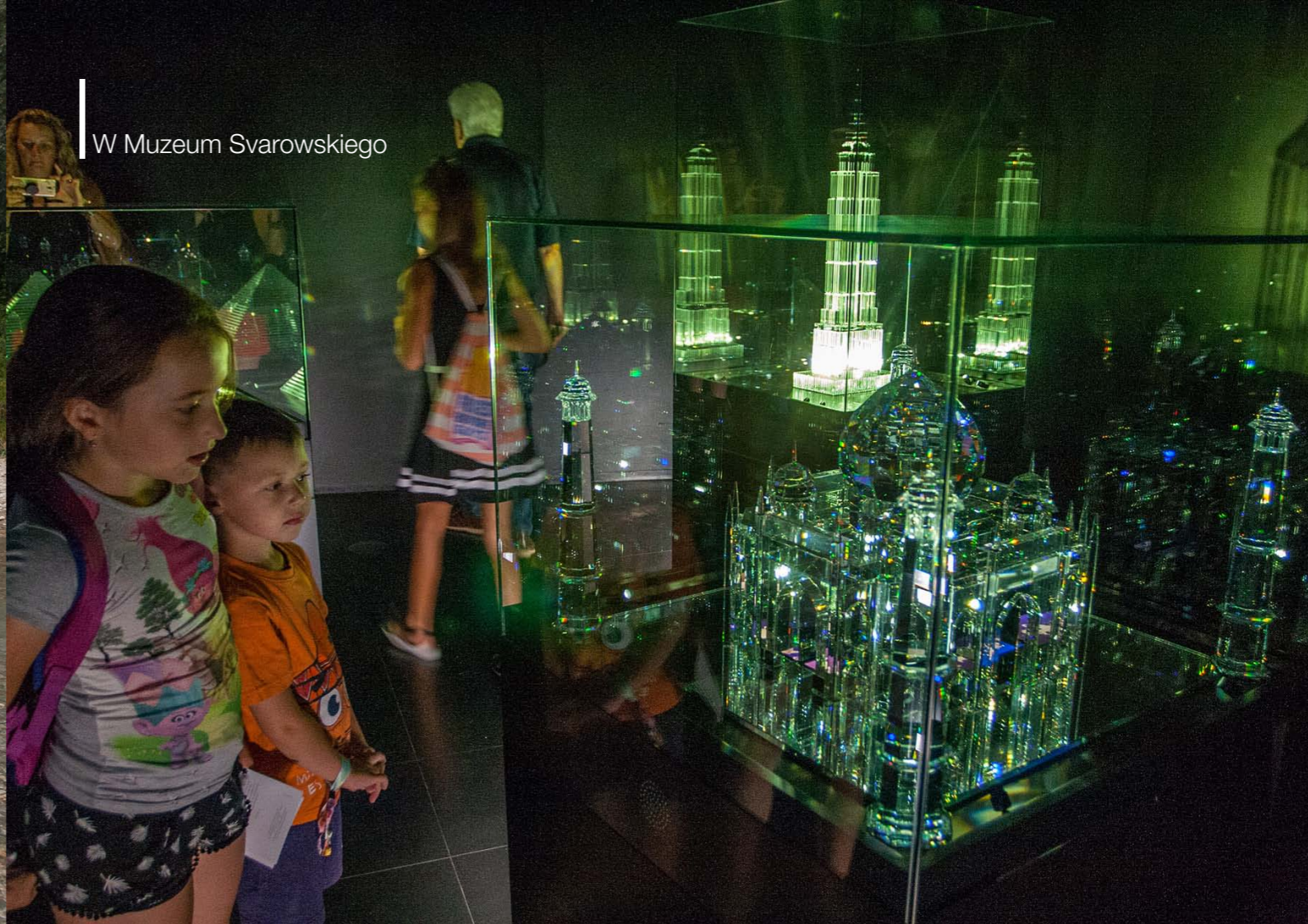
Dzień 7: Mitterstill – Taxenbach - 46 km

Bardzo późno wyjechaliśmy z kempingu. Pochmurna pogoda była i jakoś dziwnie nam się tego dnia jechało. Jakbyśmy wszyscy mie-

Chłodzimy się. Woda czysta i zimna.



W Muzeum Svarowskiego



Kryształowa komnata
w Muzeum Svarowskiego



Wejście/wyjście do
Muzeum Svarowskiego





Moczmy się...



Bawimy się...

li zaciągnięte hamulce. Zero energii. Wleliśmy się więc, w końcu nic nas nie gonilo i patrzyliśmy na „zadymione” Alpy. Droga była malownicza, wita się rzeka, która zachęcała do zejścia, ale było na tyle chłodno, że nikt z nas nie próbował do niej wchodzić. Ku naszemu zaskoczeniu, nie było kempingów. Rejon jakiś bardziej dziki. Droga się wita nie tylko po drogach dla rowerów, ale także nieraz razem z autami. Mijane miasteczka były puste, jakby bez mieszkańców. Już było późne popołudnie. Pojawił się znak kempingu 4 km w górę. Jak zaczęliśmy iść, to po pierwszym kilometrze byłem mokry jakbym z wanny wyszedł. Karolina podjeżdżała, a ja z Michałem szedłem, żona także. Spojrzałem na górę, szczyt był gdzieś w chmurach. Traktorkiem zjeżdżał właśnie rolnik. Zaczepiliśmy go. Od słowa do słowa, tłumaczeniu co i jak i gdzie, zaproponował nam kawałek placu koło swojego domu. Uprzedził, że nie ma tam prysznic, ale było gdzie spać. Byliśmy zadowoleni, że nie musimy iść dalej. A widoki z tego jego placu były przepiękne. Był tam dom w którym kiedyś mieszkali rodzice rolnika, mieliśmy dostęp do wody i toalety. Była huśtawka i trampolina z czego ochoczo

skorzystały nasze dzieci. Ja rozkładałem namiot i patrzyłem na te góry, których mi tak brakuje w moich nizinnych stronach, choćbym miał jakieś niewielkie. Dzieci szalały, spokojnie robiłem kolację i razem z Gosią cieszyliśmy się nie tylko miejscem, lecz także tym, że z córką wszystko dobrze. Bez marudzenia, bez jazdy na siłę, a nawet z humorem zrobiła tego dnia znaczny dystans.

Dzień 8: Taxenbach – Saint Johan in Pozgal - 26 km

Po pożegnaniu się z właścicielem ruszyliśmy w dół na zwiedzanie kolejnego zaplanowanego miejsca. Naszym celem był wąwóz rzeczny Kitzlochklamm. Podjechalśmy kawałek rowerami i dalej poszliśmy pieszo. Trochę wspinania, ale droga była dobrze przygotowana także pod dzieci. Schody i barierki umożliwiają w miarę bezpieczne zwiedzanie tego malowniczego miejsca. Sprawnie, a na końcu zmęczeni zwiedziliśmy to miejsce. Całe szczęście byliśmy tam z samego rana, bo w drodze powrotnej widzieliśmy już oczekujące tłumy chętnych. Dalsza droga była spokojna. Podziwialiśmy dalej otaczające nas góry. Nie odmówiliśmy sobie skorzysta-

nia z basenu na świeżym powietrzu. Ja leżałem sobie w basenie dla dzieci gdzie obok szalał syn i patrzyłem na góry. A Gosia i Karolina pływały w głębokim basenie. Marzyłem o tym. O tym, aby leżeć w dobrą słoneczną pogodę w basenie i patrzeć na góry. I tak miałem. Nie miałem tylko w rękę piwa albo ulubionego jogurtu i zupełnego spokoju, bo syn oczywiście w dosadny sposób przypominał mi o swojej obecności np. oblewając mnie wodą. Czas mijał, nam było dobrze, ale gdzieś trzeba było spać. Nie daleko był kemping, więc skorzystaliśmy. Był bardzo fajny, bo dla dzieci były na przykład gokarty, trampolina, huśtawki itp. więc mimo rowerowania jeszcze nawet Karolina pedałowała gokartem. Wziła brata albo się z nim ścigała. Małżonka znalazła za to miejsce i urządzenie, gdzie postanowiła wyprać nasze brudne ciuchy.

Dzień 9: Saint Johan in Pozgau - Golling - 40 km

Kolejny dzień, który minął nam na podziwianiu pięknych widoków. Ale skorzystaliśmy też z uroków górskich rzek. Oprócz moczenia się w nich, choć temperatura spadła i nie było już daw-

no upałów, budowaliśmy z kamieni wieże, szukaliśmy niezwykłych kamieni, a także robiliśmy popularne „kaczki”. Dolina, w której jechaliśmy robiła się coraz węższa, nie było już drogi rowerowej, tylko jechaliśmy jakąś boczną asfaltową drogą, gdzie obok była tylko rzeka i linia kolejowa. Niejako przy okazji zaliczyliśmy jakąś kolejną małą przełęcz, która niespodziewanie przed nami wyrosła. Zużyliśmy tego dnia całe zapasy wody, które mieliśmy. Nie było żadnego miejsca aby ją uzupełnić, co było dla nas dużym zaskoczeniem. Wcześniej były albo sklepy, albo źródła wody pitnej. Tego dnia, była jakby pustynia, ani miasteczek, ani sklepów. Dobrze, że mieliśmy zapasy i to spore. Dotarliśmy do Golling, gdzie zostaliśmy na kempingu. Podobnie jak wcześniej bywało, wieczorem przyszły chmury i zaczęła się alpejska burza.

Dzień 10: Golling – Sillersdorf - 47 km

Na kempingu poznany Czech uprzedza nas, że dziś będzie padać w kierunku Salzburga. Więc my ubrani na deszcz ruszamy. Już po paru kilometrach słońce postanowiło nam jedna trochę poświecić. W rezultacie przebiegamy

Gerlospass



Wodospady Krimml





Góry „płona”



Wąwoz rzeczny
Kitzlochklamm



Nocleg u rolnika

się w całości. Nawet krótkie spodenki ubraliśmy. Całkiem szybko dotarliśmy do przedmieść Salzburga gdzie odwiedziliśmy park zamku Helbrunn. Mieści się tam tzw. Spiellerwasser, czyli miejsce gdzie różne rzeczy są zrobione z wodą, strumyczki, fontanny i gości zwiedzających polewa się niespodziewanie wodą. W samym mieście Salzburg nie zamierzamy być długo, bo to duże męczące miasto na pobyt z dziećmi. Wolimy omijać takie miasta. Ale brzuchy domagały się jedzenia, więc wpadliśmy jeszcze na kebaba i pognaliśmy dalej do Niemiec. Góry nagle jakby odeszły i całkiem płaskimi rolniczymi rejonami jechaliśmy już przez Niemcy. Ale dzień się kończył. Kempingu nie ma, więc najbliższego rolnika pytamy o możliwość rozbicia namiotu. Bez problemu. Rolnik to był bardzo fajny, miał mnóstwo zwierząt, więc moje dzieci były zachwycone i miały np. okazje pierwszy raz karmić osobście byki. Królik był tak wielki, że myślałem, że to jest coś innego ale nie królik. Widoki były ładne, daleko było widać góry, przy których kilka dni wstecz jechaliśmy. Ale jak pokazały następne dni jeszcze nie koniec gór.

Dzień 11: Sillersdorf – Bergen - 40 km

Sielski, dość płaski rejon rolniczy zamienił się zupełnie niespodziewanie dla nas w drogę pełną niespodzianek. Nie tylko zjady, podjazdy, ale także nagłe zmiany nawierzchni. Teoretycznie trzymaliśmy się szlaku Salinenradweg. Ale miejscami był tak absurdalnie poprowadzony, że zbaczaliśmy z niego często. W jakiejś miejscowości zrobiliśmy przerwę na spacer, jedzenie. Czas nam mijał. A zmęczenie było większe niż w Austrii. Nie jechaliśmy już żadną doliną, nie było rzek, więc przedzieraliśmy się przez przedgórza alpejskie. Momentami były takie zjazdy, że dziewczyny schodziły z rowerów, a ja będąc w swoim żywiole z przyczepką nieco sobie pozwalałem. W efekcie pękła mi szprycha w tylnym kole. Nie naprawiałem tej szprychy do końca wyjazdu. Uznałem, że nie trzeba i nie mam czasu. Tego dnia dość zmęczeni dotarliśmy do kempingu w Bergen. Przy okazji naładowałem telefon, bo tego dnia przydała się na trasie nawigacja - jak jechaliśmy po swojemu.

Dzień 12: Bergen – Rosenheim - 50 km

Pogoda dopisywała. Zachęcała do jazdy.



Coś się buduje



Nic na głowę nam nie spadło

A drogi w tej części Niemiec nie pozwalały nam się nudzić. Nie tylko jechaliśmy, ale i szliśmy. Widokowo było całkiem ładnie, ale to i tak nie tak pięknie jak w Austriackich Alpach mieliśmy wcześniej. Skrótami wg mojej telefonicznej nawigacji posuwaliśmy się na przód. Mieliśmy ten odcinek podzielić na dwa dni, ale dziewczyny zachęcane faktem, że Rosenheim jest blisko, to po co dwa dni ten odcinek jechać. Więc pozwoli, ale dotarliśmy do Rosenheim. Bardzo bocznymi, czasem ciężkimi drogami. 5 metrów dosłownie przed tablicą Rosenheim padła mi bateria w telefonie. No tak, byliśmy w tym mieście, ale jak teraz znaleźć auto? Znaleźliśmy dalej remontowany salon samochodowy Peugeota, gdzie ekipa pozwoliła nam doładować telefon. Sami też nie wiedzieli gdzie jest ulica, której szukaliśmy. Po 15 minutach ruszamy z kilkoma procentami baterii do auta. I tak skończyliśmy część rowerową wyprawy. Po spakowaniu się do auta podziękowaliśmy klerkowi w Polskiej Misji Katolickiej. A my ruszyliśmy autem 20km dalej, aby spotkać się i chwilę odpocząć przed powrotem do Polski, do Polaków mieszkających koło Rosenheim. Poznani przypadkiem przez Polską Misję Kato-

licką, obcy ludzie, , ugościli nas u siebie w domu. Miło było i porozmawiać po polsku i skorzystać z wygod domu, spędzić z nimi wspólnie czas i dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy, których my nie wiemy mieszkając w innym kraju. Zauroczyła mnie nie spotkana wcześniej solidarność między mieszkającymi tam Polakami. Ale to już inna historia. Nasza rowerowa część z przygodami, skończyła się.

Podsumowanie:

O dwa dni szybciej zrobiliśmy trasę długości 477 km. Dwa dni miałem zaplanowane rezerwy, które jakoś nie trzeba było wykorzystać. Wróciliśmy zadowoleni, choć ja z przyczepką dostałem trochę w kość. W następnym roku już bez przyczepki uff. W tych rejonach Austrii byłem prawie 20 lat temu i stwierdzam, że niestety trochę się zmienili ludzie. Jacyś zrobili się Austriacy bardziej zamknięci i nieufni. Nie wiem czy to nie kwestia migracji ludzi. Mimo wszystko warto było wrócić w tej rejon, piękne miejsca. Dziękuję bardzo Polskiej Misji Katolickiej za ciepłe przyjęcie, rodzinie Pałac za gościnę, a także osobne podziękowania dla mojej cierpliwiej rodziny.



Mama nie dajesz rady?!



I ponownie niemieckie drogi rowerowe



